PROSPEKT.

„KWIATY“

Czasopismo belletrystyczne,

wychodzić zacznie w **Krakowie** z dniem **1ym Stycznia 1870 r.** — na dużym welinowym arkuszu, trzy razy w miesiąc, a mianowicie: 5, 15 i 25 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

W krajach pod rządem Austryackim:

rocznie	6 złr.	— c.	
półrocznie	3 „	— „	
ćwierćrocznie	1 „	60 „	

Poza obrębem monarchji Austryackiej:

rocznie . . .	4 talary	15 sgr.	lub 25 franków	
półrocznie . .	2 „	10 „	„ 13 „	

Prenumeratę przesyłać należy *franco* do Administracji czasopisma „KWIATY“ w Krakowie, ulica Florjańska L. 345.

imo tego, że już kilka pism belletrystycznych w Galicji istnieje, występujemy śmiało z tem nowem wydawnictwem — bo nowe dla pisma wytknęliśmy cele. Niemamy zamiaru wypowiadać szumnych programów, to tylko musimy nadmienić, że pismo nasze zajmie stanowisko, dotąd przez żadne z pism niezajęte; a zatem nie przeszkadzając starszym kolegom, sami zapewne przeszkód nie doznamy.

Potrzebę naszego pisma sama Publiczność czytająca osądzi, gdy „Kwiaty“ nasze, obok innych pism w Jej ręku się znajdą.

„KWIATY“ umieszczać będą:

Poezje.

Powieści.

Rozprawy i szkice z wszystkich gałęzi nauk, w sposób encyklopedyczny.

Przegląd literacko-artystyczny europejski, z szczególnem uwzględnieniem literatur słowiańskich i literatury węgierskiej.

Rozmaitości ożywione anegdotami.

Korespondencje z Paryża, Drezna, Warszawy, Wiednia, Florencji i innych stolic europejskich, stale nadsełane.

Kronikę miejscową.

Kronikę teatralną.



Staraniem naszem będzie, zamienić „Kwiaty“ w jak najkrótszym czasie w pismo illustrowane i dodawać premje.

Prosimy o poparcie, o rozszerzenie „Kwiatów“ — abyśmy ów zamiar jak najprędzej do skutku doprowadzić mogli.

☞ Upraszamy o wczesne nadsełanie przedpłaty, abyśmy wiedzieli, jak urządzić stopę nakładu.

Kraków, dnia 4 Grudnia 1869 r.

Czesław Pieniążek,
odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.

Wincenty Sarnecki,
główny współpracownik.

W Drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.

LIST ZWROTNY.

Imię i nazwisko ....

Ostatnia poczta ....

Miejsce zamieszkania ....

Prenumerata wynosi:

W krajach pod rządem Austryackim:

roczna	6	złr.	— c.
półroczna	3	„	— „
kwartalna	1	„	60 „

Poza obrębem monarchii Austryackiej:

rocznie . . .	4 tal.	15 sgr.	lub	25 franków
półrocznie . . .	2 „	10 „	„	13 „

☞ Upraszamy o wczesne nadesłanie prenumeraty i wyraźne wypisanie nazwiska, miejsca zamieszkania i ostatniej poczty.

DO

ADMINISTRACJI

„KWIATÓW"

w **Krakowie**

franco ulica Florjańska Nr. 345.

Rok I. Kraków, 5 stycznia 1870. Ner 1.



Czasopismo „Kwiaty“ wychodzi trzy razy na miesiąc, tojest 5, 15 i 25.

INSERATY

przyjmują się za opłatą 4 centów od miejsca drobnego wiersza (petit) z dołączeniem 30. centów na stępel rządowy, od każdorazowego ogłoszenia.

TREŚĆ:

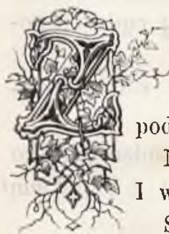
PRENUMERATA:

roczna . . 6 złr. = 25 frank. = 4 tal. 15 sgr.
półroczna 3 „ = 13 „ = 2 „ 10 „
kwartalna 1 „ 60 cent.

którą posełać należy pod adresem Redakcji „Kwiatów“ ul. Florjańska L. 345.

Reklamacje nieopieczętowane, nieulegają opłacie pocztowej.

Witajcie Kwiaty! *)



pod lodu z pod śniegu, gdy kwiecie wiośniane
Młodziuchnym, różanym pączusiem wystrzeli,
I w śliczne zielone listeczki ubrane,
Świat w okół umai, ubieli:
O z jakąż uciechą, o jakże radośnie
Witamy to kwiecie nadzieji,
I tulim i pieścim od śnieżnej zawieji,
Bo kwiecie zwiastuje o wiośnie!...

Wśród zimy, wśród śniegu witajcie nam Kwiaty!
Pod szronem, pod lodem ożyjcie nadzieją,
Rozwińcie swobodnie listeczki i szaty,
A Polki was tchem swym ogrzeją.
O wierzcie mi, wierzcie, że każda was pewnie
Do ustek przyciśnie, do łona,
I wetknie w serduszko, — a nie do wazona
I łezką pokropi was rzewnie.

Toż tchnieniem ogrzane i łzami kropione
Kwitnijcie nam w barwy ojczyste a żywe,
Kwitnijcie nam białe, niebieskie, czerwone,
Kwitnijcie nam długo szczęśliwe!

A kiedy się wkoło woń wasza rozwieje
Rozwieje — powietrze napoi
Rozgrzeje się serce, młodzieńca, dziewoji,
I skrzepłe ożyją nadzieje!...

Witajcie nam Kwiaty!... O! kwiatów nam trzeba,
Bo drogę nam ścielą i ciernie i ości,
Więc milcie nam drogę i wiedźcie do nieba
Do nieba — do świętej wolności!
A kiedy już naszą jutrzenkę ujrzymy,
Bóg ześle nam Kwietną niedzielę,
My sztandar zatkniemy, a na nim na czele
Wiązankę z tych Kwiatów zatkniemy.

Rudolf Bielikiewicz.

*) Wiersz powyższy, otrzymaliśmy od jednego z prenumeratorów naszych, a z tem większą przyjemnością go umieszczamy, że nie za staraniem redakcji *„Kwiatów“* ale pod wpływem serdecznych życzeń dla naszego pisma został napisany.

SZKICE
Z ŻYCIA ARTYSTÓW.



pięknej okolicy naszego Podgórza leżała wioska w rozkosznej dolinie. Górska zieloność łąk, gra światła i cieni, szum bystrej rzeki, i mgły poranne zawieszone nad wyższemi górami, wprawiały zmysły w jakieś urocze zachwycenie....

Górą, ponad mgłami czerniały się lasy świerkowe, niżej sklepiły się w korony cienistych buczyn, a po łąkach i miedzach stały zrzadka rozłożyste dęby.

Wieś cała leżała w jednym niby sadzie pod południową ścianą skalistych zabrzeży, a na wyniosłym terasie, który nad całą wioską i doliną panował, wznosił się dwór okazały, na tle wielkiego ogrodu i drzew starożytnych.

Naprzeciw dworu, szerokością całej doliny oddzielony od niego, stał kościołek wiejski, a z pomiędzy drzew wyglądała obok niego biała plebanja na wzgórku. Dwór i kościół był niby zawieszony w średniéj dali tego obrazu, pomiędzy niemi przewijała się rzeka po dolinie, a poza nią ginęły góry sinawo zadęte w perspektywie powietrznej, zlewając się z ruchomemi mgłami górskiego, letniego poranka....

Cała ta okolica była na pierwszy rzut oka dziwnie cichą i samotną, ale nie była dziką, przeciwnie wszędzie było tu widać ślad ludzkiej ręki, dostatek, zamożność i odwieczny ład.

Piękne dwa murowane mosty łączyły po dwakroć oba brzegi rzeki, a za jéj wężykiem przewijał się bity gościniec utrzymany starannie. Jedno jego ramię wspinało się na zabrzeże ku dworowi, drugie ku plebanji. Tamte prowadziło na most i do dworu, to na dolinę do plebanji i kościoła.

W téj tedy dolinie ozwała się trąbka pocztarska przed mostem, około dziewiątej godziny zrana — i odgłos jéj powtórzyły skaliste zabrzeża u podnóża dworu....

— Stój! krzyknął młody człowiek z powozu, i nie trąb mi więcéj!

Pocztarek stanął, podróżny wyskoczył raźno z powozu i rzekł do niego.

— Tam widzę karczmę pod młynem, jedź do niej i czekaj na mnie, a powiedz, że chcę zwiedzić ten pałac i ogród, niech więc poszukają tego, co zwykle podróżnych oprowadza panów po ogrodzie i domu.

— Dobrze panie! rzekł pocztarek, i powóz zadudnił po moście, a nasz podróżny postąpił zwolna kilka kroków naprzód, wlepił potem oczy w ziemię, stał tak długo i ciężko zadumany, potem zdjął kapelusz z głowy, spojrzał w niebo, jak gdyby Bogu za coś dziękował, i z rozrzewnieniem powiódł okiem po całej okolicy, której poranna świeżość jaśniała okiem gazelli i szumem wód górskich witała przychodnia.

Dzwonek od kościołka obudził go z marzeń, i udał się wolnym krokiem drogą, lecz nie ku dworowi, którą powóz ruszył, ale ku plebanji. Był to dzień powszedni. Wstąpił do kościółka, i ledwo troje ludzi znalazło się z nim razem na mszy. Usiadł w pobocznej ławce, zakrył twarz rękami, i tak przemodlił czy przedumał mszę całą, bo ksiądz był już dawno odszedł od ołtarza i zakrystjan krzątał się z kluczami od dawna i prawie musiał mu przypomnieć że czas zamknąć kościół. Gdy powstał w końcu, nagle spojrzał na ławkę przy wielkim ołtarzu, dał jałmużnę dziadkowi pod kruchtą i puścił się drogą ku dworowi.

Na staję przed nim szedł tą samą drogą stary człowiek wolno, znać że także powracał z kościoła, idąc raźnym krokiem doszedł go nasz podróżny. Z pozoru wydał mu się dworskim człekiem, więc zapytał równając się z nim:

— Mój panie, czy jesteś miejscowym?

— Tak jest, rzekł starzec zdejmując czapkę.

— A to będziesz mi musiał powiedzieć, czy wolno zwiedzić pałac i ogród?

— A wolno panie! ja mam klucze od wszystkiego i zaraz będę panu służył.

— Więc jesteś murgrabim?

Starzec westchnął. — Ot panie, jak zwykle stary sługa jestem tu zostawiony przy pałacu, w pustym dworze, w służbie bez panów.

— O milę ztąd w miasteczku słyszałem, że tu są piękne rzeczy do widzenia, i zjechałem z drogi.

— A jużci są, latem to nieraz zajeżdżają tu panowie i jest co widzieć, cóż, kiedy niema komu tu żyć i panować, choć jest na czem.

— A czyjże to majątek? zapytał podróżny.

— Oj panie, wiele to by mówić o tem. Oboje państwo pomarli dawno. Pan zginął na wojnie, bo służył wojskowo, a pani trapiła się, płakała, i poszła za nim w lat kilka. Został tylko syn jedynak. Daleki krewny, niby to stryj, objął nad nim opiekę i dobra wziął w zarząd a dziecię wysłał za granicę. Czternasty rok upływa a panicz nie wraca. Bóg wie, czy żyje! ot, może go gdzie zatracili? — a choćby i żył, Bóg wie co się z nim dzieje i czy dojdzie kiedy ojcowskiéj fortuny? — Bieda panie sierocie na świecie, a było to dziecko jak anioł, z twarzy do ojca, z serca podobien do matki, ot tak jak gdybym patrzał na niego! Kiedy bywało siędzie na kucyka, to rycerz, jak nieboszczyk pan, a jak przy pani mówił pacierz, to zdało się, że oboje święte! — Ej, że też mu tak bogobojna pani nie wyprosiła u Boga losu na tem świecie, że się tak dziecko po cudzych poniewiera kątach.

— A któż wie czy się poniewiera? zarzucił podróżny.

— Jakby nie panie! kto to tam o cudze dziecko dbać będzie, a przecież widzę co się tu z pańskiem dobrem dzieje.

— Jakto? to zły rząd?

— Zły nie zły, ale Bóg wie gdzie intrata idzie? Dopóki nieboszczyk pan komisarz żył, to było jeszcze pół biedy, ale od roku umarł i nikogo już niema, coby wiedział gdzie szukać panicza i czy żyje, a teraz słyszę dobra sprzedać mają, to pójdzie też po rękach fortuna i człowiek na stare lata zostanie bez kawałka chleba.

— Przecież i nowi panowie będą potrzebowali dobrych ludzi, a ja sam, jeżeli mi się ta majętność nada, jeżeli ją kupię, to zatrzymam was w służbie.

Starzec skłonił się do kolan i rzekł smutno:

— Łaska pańska i wola Pana Boga! ale ja puszczę się pono w świat szukać panicza, bo to może on nie wie nawet kto go rodzi i jaką ma fortunę. Coś to nie dobrego być musi, bo ś. p. pan komisarz trapił się bardzo paniczem, i ostatniego roku to już nic i gadać nie chciał, kiedym się dopytywał o niego.

W ciągu tej rozmowy podeszli ku dworskiej bramie, tu stał mały domek odźwiernego, do którego starzec wstąpił i po chwili powrócił z kluczami. Brama była bardzo okazałą, i już wjazd na dziedziniec zapowiadał siedzibę możnego dworu. Na bramie stały dwa kolosalne posągi wyobrażające rzymskich gladjatorów.



Dziedziniec był duży, starannie brukowany, ale cały krótką trawą zieloną jak błonie porosły, a pałac z dwoma pawilonami, z wschodami okazałemi, prowadzącemi na pierwsze piętro korpusu głównego, przypominał stylem czasy Stanisława Augusta.

Na kamiennej balustradzie wschodów stały rzędem mitologiczne figury, a pod sklepieniem od dziedzińca była pod wschodami umieszczona sztuczna grota ozdobiona kilkoma bronzowemi wazonami, w których widać niegdyś były kwiaty i exotyczne planty.

Jak dziedziniec trawą, tak porastały mchem krótkim okazałe wschody i wszystko świadczyło tu o tem, że to był dom niezamieszkały oddawna.

Murgrabia otworzył drzwi główne prowadzące do wnętrza pałacu, skłonił się i prosił podróżnego, aby się przez chwilę zatrzymał, aż otworzy pokoje. Po otwieraniu drzwi, okiennic i storów, było znać człowieka obeznanego dobrze z pokojami i wprawnego do służby. Zdało się, że odmłodniał wstąpiwszy na progi dawnych panów swoich.

Pokoje lubo niezamieszkałe, były starannie i czysto utrzymane, meble były staroświeckie i z tej samej epoki co cały pałac. Wszystko świadczylo o dobrym guście, o przepychu i zamożności dawnych właścicieli, i zdało się, że nietylko żaden stół i stołek, ale nawet żadna ozdoba pokoju i najdrobniejsze cacko nie zostało z miejsca ruszone od ostatniej chwili ich pobytu w tym domu. Tyle tylko odmiany, że kobierce, gobeliny i makaty leżały w stosach na posadce złożone, że w wazonach nie było kwiatów, że świec nie było w świecznikach i po pająkach, że w misternych klatkach nie było ptaków, w kryształowej wannie rybek złotych, że pokrowce okrywały goblenowe i adamaszkowe obicia, że kosztowniejsze obrazy były pod zasłoną.

Nasz podróżny wstąpił do wielkiej sali i rozpatrując się wkoło, rzekł po chwili:

— Czuć tu powietrze zamknięte, czy nie chciałbyś mi panie otworzyć z jedno okno na ogród.

— Zamknięte powietrze? zapytał murgrabia z pewną urazą, wczoraj dopiero przewietrzałem cały pałac! ale kiedy taka wola pańska, to służę, i otworzył okno.

Podróżny usiadł na krześle, które w oknie stało, oparł głowę na ręce i patrzał w przesliczny ogród, którego bliższe partje były zachowane w pierwotnym stylu francuzkich ogrodów, a dalsze łączyły się swobodą rozkładu z krajobrazem górskiej okolicy tworząc jedną całość.

Podróżny siedział długo w oknie, nic nie mówiąc i nie pytając o nic, a murgrabia stał z uszanowaniem w pewnem oddaleniu.

Po długiej chwili milczenia rzekł do niego:

— Jestem bardzo strudzony, zły miałem nocleg, ale to miejsce podoba mi się i przez dziś zostanę tu. W karczmie jest mój powóz, każ tu mój panie znieść moje rzeczy i pomyśl dla mnie o jakiem śniadaniu, albo o obiedzie.

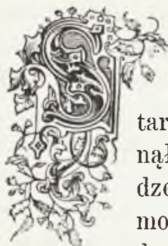
Z zadziwieniem słuchał tych słów murgrabia i ociągał się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BOŻE NARODZENIE.

I.

Canite tuba Sion.



Starożytność nie znała wolności. Wschód tonął w despotyzmie świeckim lub w przewadze teokratycznej, a Grecja i Rzym nie mogły się wychylić poza koło republik z jedną uprzywilejowaną kastą. W pierwszym, jednostka rozpływała się w pojęciu pana, w drugich, pojęcie państwa wchłaniało w siebie indywidualizm — obywatelstwo. Pojęcie — Ojczyzna, w dzisiejszem poczuciu uznanie jednostki, jej wola i czyn, poświęcenie i zbiorowość tych poświęceń dla wspólności celów odrębnego istnienia, zbiorowość zgodna celów indywidualnych wiodąca do zgodności środków w wypowiedzeniu swej treści faktami historycznemi, w przyobleczeniu swej idei narodowej w ciało, jednem słowem inicjatywa idąca z dołu od mas a zlewająca się w pojęciu zbiorowem państwa, wybiegała po za zakres zawodu historycznego żywiołów wschodnio-italsko-helleńskich. Inicjatywa szła z góry, brzemię państwa zdusiło wolność indywidualną nie już kast niższych i ludów podbitych, ale zaborców i część ich uprzywilejowaną. Z góry szło oddziaływanie w masy, bo rodzina jest prototypem państwa. Niezależność żony znikła wobec despoty męża, a dzieci względem ojca stały się niewolnikami, rzeczą. Piramida bezwzględnej zależności, długi łańcuch niewoli, który skuł w ciasne pęta stosunki państwowe i życie familijne, zabił tem samem wolę jednostki. Bez wolnej woli nie ma moralności, bo z pojęciem moralności nierozłączne jest pojęcie odpowiedzialności.

Jaki ustrój społeczny, taka i religja. Bogowie byli wspólnikami społeczeństwa w jego tyranji, a raczej byli tem samem społeczeństwem ubóstwionem i ciężącem całą wagą Olimpu na ziemię. Minerwa, Venus lub Jupiter, były to Grecja, Azja lub Rzym uosobione *). Taki ustrój umożebniał niekiedy heroiczne czyny, Ateny miały Milcjadesów, Sparta Leonidasów, Rzym Regulusów, były to szczęśliwe chwile, kiedy wola jednostki zeszła się z celami państwa, ale i tu każdy widzi, że stan ten wyjątkowy ma miejsce w działaniu na zewnątrz, w celach narzucenia supremacji nad obcem plemieniem. W ogóle stan taki napięcia sił długo trwać nie mógł, bo był z natury swej anormalnym. Okres wreszcie tego natężenia krótkim jest w porównaniu z długiem życiem społeczeństw teraźniejszych.

I zwolna poczęła się z pod stóp usuwać ziemia.

Kiedy istnieje zło, a inicjatywa nie idzie z góry, to podchwytuje ją masa ludu. A inicjatywa idąca z dołu, to uragan niszczący wszystko, dla którego nic świętem nie jest. Jedyny węzeł trzymający w karbach moralność publiczną a z nią życie społeczne: religja i jej organa —

*) Wywód prawdy chrześcijańskiej ze stanowiska filozofji, dogmatu i historji Augusta Nikolasa

wyrocznie, straciły pierwotną siłę, którą czerpały w wierze; i kark Grekom przydeptał Rzym — Rzym wszech potężny, silny, pan świata na którym słońce nie zachodzi nigdy. Aż oto kapłani przechodząc mimo uśmiechają się do siebie. Runął i Rzym, a na gruzach jego potęgi republikanckiej zagnieździł się niby gad, absolutyzm wschodni. Starożytność nakreśliła w swym pochodzie historycznym wielkie koło dziejowe i powróciła do punktu swego wyjścia. Poza to koło wychylić się nie mogła. I powstał bezład, zamieszanie, bezcelowość, niewiara....

A kiedy brak tchu do życia, to patrzy się w przyszłość oczekując niecierpliwie ratunku. Pa trzeć się w przyszłość to znaczy tyle co patrzeć w szczęście, w niebo, w nieskończoność.... I powstali wśród ludu izraelskiego mężowie, co zapatrzyli się w niebo, a promienistość nieba spłynęła na ich czoła, aureolą tajemnic okoliła ich skronie, i serca ich zapa liła natchnieniem I zajaśniała światłość która oświeciła ws zystkie narody

„Słuchajcie ludy! nadstawcie ucha wy wszyscy, którzy mieszkacie na ziemi. Niebiosa słuchajcie głosu mego niech natura cała słucha słów, które wyjdą z ust moich.“

Przeszłość, niby połowa zgniłego owocu odpadła od zdrowej połowy — przyszłości — chrześcijaństwa.

Dwudziestego piątego Grudnia w 749 roku od założenia Rzymu; 41 okresu Juliańskiego; czwartym 193 olimpiady; 4709 od początku świata wedle okresu Juliańskiego; 4000 wedle chronologji Ussiryusza, za Augusta i L. Silly konsulatu — narodził się Jezus Chrystus.

Gloria in excelsis Deo.

* * *

Są ludzie mózgu, myśli — są ludzie serca, uczucia. Pierwsi analizują, drudzy przeczuwają. Jedni z natury swej długo zdążają do prawdy, dopóki nie ujmą jej w całej konkretności, drudzy przeczuciem od razu wchodzą w jéj posiadanie.

Czynna myśl i ciepłe uczucie rozdzielają całą ludzkość na dwa obozy wprost przeciwne a mimo to zgodne w przyszłości, bo myśl loicznie postępując w swoim rozumowaniu zdąża i staje tam, gdzie serce już innych pociągnęło.

Pomiędzy temi dwoma obozami snują się ludzie bez mózgu i bez serca, których czaszki puste niby spróchniały orzech, ciała ubrane w suknie — mówiąc słowami naszego wieszcza — a polot ich sukien powiewem trącanych, duchowniejszy niż dusza ich — Umarli! —

Dokąd dążą?... brak celu, wolę zastąpił instynkt, bo wola wywiązać się może tylko z działania wspólnego dwóch wymienionych żywiołów — a cóż za moralność bez woli?... Mają oczy — a nie widzą, mają uszy — a nie słyszą....

Nie tu miejsce wykazywać korzyści, jakie spłynęły z chrześcijaństwem na ludzkość, w porządku moralnym, umysłowym i społecznym. Kto uwierzył ten dowodów nie potrzebuje, kto nie uwierzył a nie bezmyślnie i dla którego nie zasada, lecz cel i dotykalne jéj skutki tylko do przekonania przemawiają, tego ekonomia polityczna nauczy, że kardynalna zasada chrześcijaństwa miłość bliźniego i obowiązek wynikający ztąd, czynienia dobrego innym, jest podstawą dobrobytu społeczeństwa — gdyż dobro jednostki potęguje dobro ogółu *).

Lud, który wierzy sercem, i który wylewa swe uczucia w pieśniach nieuczonych lecz tchnących prawdą, dziwnie prosto a głęboko maluje skutki przyjścia Chrystusa:

Dzieciątko się narodziło,
Wszystek świat uweseliło.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Po ogłoszeniu krótkiego naszego programu, w którym powiedziano, że zajmować się będziemy literaturami narodów sławiańskich i literaturą węgierską, spotkaliśmy się tu i owdzie z niejakiem zadziwieniem publiczności i z zapytaniami, dlaczego literatury te, takiego w piśmie naszem doznać mają uwzględnienia.

Na zapytania czynione nam prywatnie i publicznie w dziennikach jak *Unji* — zaraz odpowiemy, a ośmielamy się mieć nadzieję, że po tej odpowiedzi, zdziwienie Sz. Czytelników ustąpi.

Z narodów sławiańskich, dwa tylko przejąwszy się cywilizacją zachodnią, stanęły na równi z innemi narodami Europy. Narody te, to Polacy i Czesi. Cywilizacja zachodnia i związki bezustanne z Niemcami, Francją, Włochami itd., spowodowały to pewne oderwanie się Polaków i Czechów od reszty sławian, niedorównywających nam oświatą. Polska do dziś dnia jeszcze — mimo że jest najczystszą przedstawicielką żywiołu sławiańskiego, nie zbliżyła — nie zapoznała się ze swymi pobratymcami.

Czesi, zgnębieni w r. 1621 w bitwie na Białejgórze, postawieni geograficznie na pastwę żywiołu niemieckiego, przez długie lata nie dawali znaku życia narodowego, nie mieli sił do rozwinięcia narodowego sztandaru.

Dopiero od lat kilkudziesięciu zaczęła się u nich praca olbrzymia nad rozwojem narodowości, i dopiero od tego czasu Czesi zwrócili swą uwagę na resztę sławiańszczyzny, aby w niej czerpać siły do walki z germanizmem.

Dla Czechów stało się niezbędną potrzebą, szukanie oparcia dla własnej narodowości, w idei plemienno-sławiańskiej, bo nieliczny naród czeski — sam, jako taki, nigdy nie zdoła zrównoważyć siłę prącego ku sławiańszczyźnie germanizmu.

U nas nie było tej potrzeby, a właściwie, potrzeby tej myśmy nie poczuli lub poczuć nie chcieli.

Naród nasz liczący kilkanaście miljonów, choć utracił byt polityczny, nie utracił bytu narodowego. Nam nie trzeba było walczyć o wskrzeszenie narodu, tak jak Czechom, bo nasz naród żył i żyje, choć w rozdzieleniu i nie właściwemi zamknięty granicami.

*) Moralność i zasadnicze prawo historji X Gratry.

Nasz naród sam przez się dosyć jest liczny i silny, i mimo klęsk olbrzymich, zdołał zwycięzko odeprzeć nawałę germańską. Ztąd też, będąc dość silnymi, nie szukaliśmy dla narodowości naszej, żadnych ożywczych źródeł, żadnej pomocy w sławiańszczyźnie.

Tem da się wytłomaczyć ten brak znajomości stosunków sławiańskich u nas, ten brak znajomości języków i literatur sławiańskich. Każdy Polak, niezawodnie dokładniej obeznanym jest z literaturą francuzką lub niemiecką, niżeli z literaturą czeską, serbską, chorwacką itd.

Co do sławian południowych, to możemy tem się wytłomaczyć, że południowa sławiańszczyzna, mimo współplemienności z nami, tak wielce różni się od nas oświatą i duchem swym, że nie możemy się tam nawet nic z nami wspólnego dopatrzeć. Jednak, dla zaspokojenia już samej ciekawości, należałoby zapoznać się bliżej z literaturą południowych sławian, aczkolwiek niżéj od nas pod względem oświaty stojących, ale zawsze pobratymców naszych.

Z Czechami, łączyły nas zawsze stosunki z sąsiedztwa wypływające, łączyła nas równość cywilizacji i sympatja plemienna.

Wiadomo, że język czeski używanym był w Polsce w czasach Jagiellońskich, a król Władysław Jagiełło i dworzanie, mówili po czesku. Rozprawy polskich i czeskich teologów, odbywały się w Krakowie w języku czeskim. Łukasz Górnicki (w r. 1565) w dziele swem „Dworzanin polski“ — narzeka na mowców polskich, że mięszają polski język z czeskiemi wyrazami i powiada, prawda, że czeski język gładszy od polskiego, ale nie godzi się psuć mowy własnéj, ale należy ją ogładzać przez używanie itd. Wszak Bartosz Paprocki pisał swe dzieła i ogłaszał je w czeskim języku. Hieronim Małecki (r. 1574) w postili Lutrowéj mówi: „Dobry interpres, który z niemieckiego języka przekładać chce, musi dobrze po niemiecku rozumieć i też nietylko dobrym Polakiem być i phrazes prawie i właśnie używać, ale też musi i czeski język umieć, a to dlatego, że polski i czeski język jednaż mowa jest, okrom tego, iże każdy z nich ma swoje osobliwe *dialectos seu proprietates*.“

Z tego widzimy, jak wielkie było zbliżenie Czechów z Polakami. Łączność ta nasza, zacierała się coraz więcéj, aż wreszcie zatarła zupełnie, i dziś nic a nic o czeskiéj literaturze nie wiemy.

Prawda, że jak się wyżej powiedziało, Czesi od r. 1621 żadnego znaku narodowego życia nie dawali — przez czas długi. Ale w przeciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, tak się przeobrazili, tak wzrośli potężnie, że ich za wzór innym narodom postawić można. Praca energiczna, solidarna a wytrwała, powróciła im ojczysty język, rozwinęła literaturę, oświatę, która podnosząc byt materjalny, dała im siłę do oparcia się prądowi germanizmu. Pewnie w żadnym narodzie europejskim, lud nie jest tak wykształconym, jak w narodzie czeskim. Lud czeski, przesiąkł na wskróś oświatą, a przez to utrwalił sobie dobrobyt, a narodowi swemu dał siłę olbrzymią.

Przed 30tu laty, niepodobieństwem prawie było, obrócić się w Pradze, bez znajomości języka niemieckiego, kiedy dziś raczej wystrzegać go się należy.

Przed 30tu laty, można powiedzieć, że dopiero kiełkować zaczęła literatura czeska, a dziś, niema tam człowieka czytać nieumiejącego, a pisma i książki rozchodzą się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

Ten ruch silny, energiczny a wytrwały, ta praca podziwienia godna, ta solidarność w działaniu, wielkie już Czechom przyniosły owoce, a większe jeszcze przyniosą niezawodnie. Dlatego, myślę, że czytelnicy „*Kwiatów*“ chętnie udzielą swej uwagi przeglądom literatury czeskiej.

Dziś, zamało już mamy miejsca, by zaznajomić Czytelników naszych z niektóremi działami literatury czeskiej. Odkładamy to do numeru następnego, a teraz wypada nam jeszcze wytłómaczyć pobudki, jakie nas skłoniły do zamiaru zajmowania się literaturą węgierską.

Na to, krótko odpowiemy. Oto, tak język węgierski, jak i literatura węgierska — dotąd, prawie nieznanemi są społeczeństwu europejskiemu, mimo, że literatura węgierska tyle ma skarbow prawdziwych, że zapoznanie się z niemi, nie będzie bez korzyści.

Powtóre, pewna sympatja z dawnych wieków i nowszej doli wypływająca, — pociąga nas ku węgierskiemu narodowi, więc — myślę, że z przyjemnością, zapoznać się zechcemy z tem, co naród ten w słowie wypowiedział i wyśpiewał.

W końcu i ta okoliczność skłania nas do zajmowania się literaturą węgierską, że z innych pism polskich można zaczerpywać wiadomości o literaturach europejskich, ale w żadnem niczego z literatury węgierskiej dowiedzieć się nie można. Chcemy więc niejako ten brak uzupełnić.

Tak więc wytłomaczywszy tę część naszego programu, powtarzamy jeszcze, że w przeglądach literackich, śledzić będziemy ruch literatury polskiej przedewszystkiem — a obok tego otwieramy miejsce przeglądom literatur europejskich, ze szczególnem uwzględnieniem literatur sławiańskich i literatury węgierskiej, a to z wyżej przytoczonych powodów.

KORESPONDENCJE.

Paryż.

Nie sądziłem nigdy, ażeby w myśli naraz zejść się mogli: Aleksander W. pantofel, Ezop, krynolina, Napoleon III i czop u beczki.

Zdarzają się jednak na świecie rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło, kiedy kreacja Szekspirowska szukała na czopie beczki, prochów Wielkiego Macedończyka, któż mógł wtedy przewidzieć że przyjdzie mąż, który będzie pisał dzieje drugiego potentaty starożytności, Rzymianina, a sam stanie się czopem, że jednocześnie mąż ten siedząc pod państwem pierwszej krynoliny, jak Francuzi nazywają cesarzowę Eugenję, i doprowadzając rzeczy do ostateczności, stanie się dla Francji najniebezpieczniejszym rewolucjonistą? Bo posłuchajcie:

O wschodzie słońca wyszedł sobie Ezop z miasta na drogę publiczną, by użyć świeżego powietrza. Już był zrobił kilkogodzinną przechadzkę, gdy zostaje zaczepiony przez podróżnego.

— Jak prędko zajdę do miasta, zapytuje nieznajomy, wskazując na rysujące się w dali wieżyce.

— Idź, odrzekł lakonicznie bajkopisarz.

— Głuchy — pomyślał sobie podróżny i powtórzył donośniejszym głosem pierwsze pytanie.

— Idź! — odparł powtórnie Ezop.

— Warjat — pomyślał tym razem podróżny i ruszył w dalszą drogę.

— Stój! zawołał wtedy Ezop — skorom zabaczył szybkość twego chodu, teraz mogę ci odpowiedzieć.

Sens moralny: Świat ma zwrócone oczy na męża, od którego wiele oczekiwał i pono oczekuje — a mąż ów niby kolos granitowy przysadził się do jednego miejsca i ruszyć się nie chce. Któż będzie tak mądry by mógł orzec: gdzie zajdzie i kiedy zajdzie?

Stać nieruchomie gdy wszyscy biegną naprzód, to znaczy cofać się.

Nakreślić pewne ograniczone formy i żądać by treść ludowa ciągle wzrastająca nie rozsadziła ich, zaszpontować ferment i nie lękać się by beczka rozsadzoną nie była lub czop wysadzony?...

Ale co kronikarzowi do tego?... Dość mu na tem, gdy da matematykom ku uciesze sześć wyrazów, dla tworzenia z nich przemian, kombinacji i warjacji: Aleksander W. pantofel, Ezop, krynolina, Napoleon III i czop....

Niepodobna jest pisać o Francji a nie potrącić o politykę, zda się bowiem że pismiennictwo francuskie skoncentrowało się w dziennikarstwie li tylko politycznem. To też nigdy we Francji nie zużyto tyle bibuły co w tych czasach, jestto prawdziwy *une pluie de journaux. La Cloche, la Marseillaise*, *le Constituant* już się pokazały, *le Ça ira, le Vengeur* wkrótce mają ujrzeć światło dzienne, a wszystkie stawiają sobie za cel walkę z rządem, jestto bowiem nieodzownym warunkiem istnienia, dzienniki jedynie opozycyjne mogą liczzć na czytelników. Kto żyje tedy we Francji, pisze lub czyta. Pewien statystyk, podobno nawet bardzo biegły, obliczył, że gdyby wszystkie dzienniki złożono na kupę, stos taki wyrównałby wysokością kolumnie Vendôme, też same dzienniki rozłożone w jednym kierunku usłałyby prozą drogę od Paryża do Orleanu, a kładzione obok siebie zajęłyby przestrzeń, na której się wznosi miasto Bordeaux. Nie mogę ręczyć czy obliczenia te są ścisłe, to pewna że próby nie robiono. Ale nie na tem koniec, nasz statystyk idzie dalej — licząc na każde pismo opozycyjne dziesięciu czytelników (rozrzewnia nas to podobieństwo z naszą Galicją, przyp. Red.) obliczył, że gdyby ci wzięli się za ręce, utworzyliby łańcuch ciągnący się od przylądku Dobrej Nadziei, aż do północnych krańców Laponji, zbici zaś w gromadę na wysokość, wysadziliby ostatniego czytelnika pod obłoki cztery razy wyżej aniżeli sięga szczyt wieży Strasburgskiej, a zostawieni sami na bezludnym lądzie, dorównywającym wielkością Ameryce południowej, zaludniliby go w przeciągu 60 lat. Szczęśliwi! czytelnikom dzienników urzędowych potrzebaby było stu pięćdziesięciu lat dla zaludnienia takiej mieściny jak Batignolles. Do jakichże to wiadomości statystycznych nie doprowadzi nauka?...

Z kolei rzeczy należałoby wspomnieć o mowcach, tyle się ich jednakże w ostatnich czasach namnożyło, że trudnoby było portrety wszystkich odmalować. Wybieram z nich tedy jednego tylko, który najwięcej zainteresował Paryżan z przyczyny anegdotki, przez cały tydzień o nim krążącej. Cóż to za szczęśliwy śmiertelnik, o którym ruchliwy Paryż pezez cały tydzień mówić może? jest nim pan Vendre. Pewnego dnia p. Vendre zasnął na posiedzeniu, i to tak zasnął, iż nie spostrzegł się, że prezes zawiesił już posiedzenie, że wszyscy koledzy już opuścili salę i że gaz przestał się palić.

Wsparłszy głowę na rękach, pozostałby w tym stanie może do późna w nocy, gdyby go przypadkowo nie ujrzał woźny. Ten budząc go, pociągnął za rękaw od paletota, p. Vendre zadrżał, skoczył i za jednym zamachem wykrzyknął: *Très bien! Très bien!*

Zdało mu się, że słyszy rozprawiającego p. Genteur, który go uspił. Nie masz jak ludzie czynu — nieszczęście tylko zachciało, że echo approbacji p. Vendre z prostej izby prawodawczej przedarło się na ulicę i przez stugębną famę rozgłosiło jego trzeźwy, a bezstronny sąd o mowie kolegi.

(Dokończenie nastąpi.)

Kraków, 4 stycznia 1870.

Nikomu nie życzę, być choć na chwilę w mojem położeniu. Ciężki spadł na mnie obowiązek pisania kroniki dziesięciodniowej do „*Kwiatów.*“

Kronika, to nie bagatela, a jeszcze dziesięciodniowa! Kronikarze krakowscy tak skrzętnie pochwytują wszystko do pism swoich, że dla mnie nic nie pozostaje. Gdybym chciał napisać coś o minionych świętach, o opłatku, o wilji — to daremnie siliłbym się na koncept, bo o tem wszystkiem kronikarz tygodniowy „*Kraju*“ rozpisał się szeroko. A gdybym, w braku przedmiotów kronikarskich, chciał wymyślić ploteczkę jaką, to i to mi się nie uda, bo w tej materji, kronikarz „*Kaliny*“ celuje, czego najlepszy dał dowód czepiając się w ś. p. r. 1869 redakcji „*Kraju*“. Gdybym to jeszcze był tak wielkim naturalistą, jak kronikarz „*Kaliny*“ — ha! to poszedłszy w jego ślady, smarowałbym w kronice rozprawy o żabach, o których kronikarz „*Kaliny*“ w każdym wierszu robi wzmiankę. Niestety, nie jestem zbyt biegłym w żabologji — więc i o tym interesującym przedmiocie nie mogę nic pisać. Wybaczcie więc Szanowni Czytelnicy, że co napisałem i napiszę — będzie ni to, ni owo. Ot, każdy początek trudny, a więc i początek mego kronikarskiego zawodu, nie może być łatwym. Jednak przyrzekam solennie, poprawić się nadal i skrzętnie zbierać wszystkie wiadomości, a w zbieraniu, kolegów pism innych, uprzedzać. Tymczasem należałoby, jeżeli nie opłatkiem, to przynajmniej słowem, połamać się z Czytelnikami, a także przy Nowym roku, złożyć serdeczne życzenia. Wypełniając ten miły obowiązek dawnego zwyczaju, jedno tylko składam życzenie, a to — aby Czytelnicy nasi, nigdy nie byli niezadowoleni z usiłowań naszych.

Jak mój dział kronikarski, tak i całe pismo, przy pomocy Boskiej i ludzkiej rozwijać się będzie tak, aby coraz więcej zbliżyć się do doskonałości. Aby dopiąć celu tego, udajemy się pod opiekę Pań, ufni w Ich pomoc i poparcie, tem więcej, że pismo nasze z nowym kwartałem będzie illustrowane i dodawać będzie mody i kroje te same i w tym samym czasie, w jakim w *„Bazarze“* się znajdują.

ROZMAITOŚCI.

— *Czas* w Nr. 293 słusznie zapytuje, dla czego publiczność nie zwiedza licznych zbiorów, gabinetów, galerji istniejących w Krakowie; odpowiadając, że przyczyna tego jest w okoliczności, iż nawet miejscowi nie wiedzą, gdzie istnieją jakie zbiory publiczne, a tem mniej o prywatne się troszczą, że gdy zagranicą w każdym hotelu obok afisza teatralnego dadzą przybyłemu katalogi i ogłoszenia tyczące się muzeów i gabinetów, objaśniające o porach i warunkach ich zwiedzania, u nas dopiero sam podróżny jeżeli ma ciekawość do tego, poszukiwania — nie już w zbiorach, ale samychże zbiorów robić po mieście musi. Uznając słuszność tej uwagi, przyjmujemy na siebie obowiązek służenia tej sprawie, pragnąc, aby przybyłemu do Krakowa pismo nasze mogło dać informację jakiejby potrzebował, chcąc zwiedzić skarbce, galerje, zbiory, biblioteki, gabinety, zakłady, upraszając uprzejmie ich właścicieli, dyrektorów, kierowników, zawiadowców, aby nam raczyli łaskawie donieść, kiedy, w jakich porach i pod jakiemi warunkami te różne a tak liczne zbiory krakowskie mogą być odwiedzane. Zawiadomienia te nietylko bezpłatnie ogłosimy, ale owszem w letnich miesiącach, w porze przejazdu przez Kraków, uporządkowane i ułożone wedle godzin, wraz z wykazem miejsc godnych zwiedzenia i z przewodnikiem dostania się do nich w numerach pisma naszego, jako stałą rubrykę ogłaszać będziemy, w nadziei, że numer taki w każdym hotelu się znajdzie dla wygody podróżnych.

— *Człowiek wypchany słomą.* Przed niedawnym czasem moskiewskie dzienniki donosiły o wzniesieniu pomnika na cześć śmiertelnej naszej nieprzyjaciołki carowej Katarzyny II. Okoliczność ta przypomina nam opowieść o dwóch współimiennikach a faworytach carowej, której autentyczność jeśli może być zawarunkowaną, to przecież samo jej powstanie daje obraz stosunku poddanych do tronu.

Otóż jednym faworytem był Suderlaud, piesek angielskiej rasy, a drugim faworytem także Suderlaud, tym razem bogaty bankier. Nieszczęście mieć chciało, że pewnego pięknego poranku zdechł Suderlaud (piesek). Katarzyna kazała go wypchać, by przynajmniej widokiem nieboszczyka uwolnić się od melancholji. Czynność tak szlachetna przypadła na Reliewa, naczelnika policji.

W y p a d ł z ł a s k i, pomyślał sobie zacny urzędnik i wziął się do powierzonej funkcji. Tego samego dnia w nocy (według zwyczaju moskiewskiego) Suderlaud (bankier) został zbudzony dobijaniem się policji, a za chwilę rozpoczął się tragiczno-komiczny dialog między Suderlandem a Reliewem.

— Kochany Suderlandzie, mówił ten ostatni z głębokiem wzruszeniem, nie mam serca wypowiedzieć ci celu swego przybycia.... Otrzymałem od imperatorowej rozkaz.... bardzo srogi!... straszny dla ciebie!... Czemżeś tak oburzył na siebie carową?!

— Ja! zawołał Suderlaud, któremu łydki nie na żarty drzeć poczęły. Jakiż rozkaz, mów!...

— Nie śmiem, wyrok straszny!...

— Straciłem zaufanie u carowej? chce mi zamknąć dom handlowy.

— Gdyby to tylko było!... zaufanie mogłoby powrócić!...

— Chce mię wysłać na wygnanie?... nalegał Suderlaud.

— Z twemi bogactwy wszędzieby ci dobrze było....

— Boże! mam być wygnany na Syberję!

— Z Syberji się powraca....

— Wtrącony do więzienia!

— Z więzienia się wychodzi....

— Litości! chce mnie oddać pod knuty!...

— Straszna kara; ale i knuty nie zawsze zabijają....

— Więc carowa łaknie mego życia. Mów! zawołał nieszczęśliwy, wyczerpawszy wszystkie środki któremi carat zwykł rozporządzać.

— Och! czemuż mnie nieszczęsnemu przypadło obwieszczać ci wyrok, mówił Reliew — ale oto wyraźne słowa carowej: Idź i nie zapominaj że obowiązkiem twoim jest spełniać moje polecenia, jakiekolwiekby one były. Po chwili odwrócił się, skrzywił niby z żalu i wyszeptał: otrzymałem rozkaz.... wypchania cię słomą!

Suderlaud uczuł dreszcze konania. Carowa zwarjowała!!!

Reliew ocierał łzy, nie chcąc przyświadczyć z obawy, by go podobny los nie spotkał.

Po chwili Suderlaud odprowadzony został do akademji medycznej. I Bóg wie coby się stało, gdyby się sprawa wcześnie nie wyświeciła.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Prawie każde niemieckie, angielskie lub francuskie pismo miewa rubrykę z tym tytułem, przydatną do rozwiązania wielu kwestji, a pytania i odpowiedzi w nich zamieszczane, stają się nieraz przyczyną do ważnych naukowych rozpraw. Dość tu przytoczyć znane powszechnie rezultata otrzymywane tą drogą w rozpowszechnionem czasopimie *Literarischer Handweiser*, w Norymbergskim *Anzeiger für Kunde der deutschen Vorzeit*, albo w owym *Organ für christliche Kunst*, gdzie niedawno na zapytanie, dlaczego czarnem jest oblicze Najśw. Panny Marji Częstochowskiej, tyle gruntownych a ciekawych dano odpowiedzi. Jestto niesłychanie łatwy sposób udzielania pomocy pracującym naukowo. Ów pyta się o jaką książkę, chcąc wiedzieć czyli i gdzie istnieje, ten znalazł monogram na grobowcu, radby wiedzieć, czyli komu nieznane jest nazwisko mistrza, co się nim naznaczył, ów znowu pragnie wiedzieć, jak daleko sięga obyczaj, nad którego naturą się zastanawia, pyta,

gdzie niknie jaka piosenka, gdzie jest granica plemienia jakiego, stroju, a nawet nuty, która czasami nie bez powodów tylko, na pewnej ograniczonej przestrzeni rozbrzmiewa. Na takie pytania, każdy w czemkolwiek pracujący, choćbyśmy pominęli specjalistów, którzyby sie co chwila spytać o coś mieli, odpowie. Zapytania podobne robią się krótko, czasem w paru słowach, taka odpowiedź treściwa przysłana do redakcji załatwia sprawę; albo ogłoszona, wprowadza kwestję na pole rozprawy, lub wreszcie znalazłszy interlokutorów wyjaśnia rzecz, o którą chodzi. Pytania filologiczne, wątpliwości językowe, nader łatwo, bez napięcia pedantycznego, sądem że tak powiem doraźnym rozstrzygać się mogą. Nawet w ściślejszych zakresach, bo bibliografji, historji, literatury, sprawach wyjaśnień dat z życia znakomitych ludzi i w tym podobnych kwestjach, szybko, jakby telegrafem osiągnąć można rezultat. Mielibyśmy np. zaraz załatwioną sprawę, odkąd u nas zwrócono uwagę na wykopaliska z grobów pogańskich, gdyby nam kto odpowiedział, czyli o popielnicach istnieje starsza co do daty rozprawa od Jakóba z Mellen Lubeczanina publikacji wydanej w Jenie 1679 r. pod tyt. *historia urnae sepulcralis sarmaticae.* Przecież jeśli mamy fachowych, to nie trudno byłoby któremu z nich odpowiedzieć na to pytanie. Jeśli jeden będzie wiedział więcej, to może drugi jeszcze dalej sięgnie, i tak z pytania odpowiedź, z odpowiedzi pytanie łańcuchem zagadnień do rezultatu doprowadzi. Z tych kilku słów nie trudno zrozumieć o co nam chodzi, a pojąć jak rozległym może być zakres tej rubryki. Rozległość jej, doniosłość i pożytek z jednej strony świadczyć będzie o ruchliwości pracowników w różnych gałęziach wiedzy, zaś z drugiej pozwoli nam przyczynić się do ułatwień, dla których właśnie czasopisma istnieją. Przedsięwzięcie nasze łączyć także ze sobą może rodzaj komisów i zleceń naukowych. Ktoś np. zgłosi się z oświadczeniem, że posiada taki a taki obraz, taką a taką monetę, książkę, dokument, rękopism; inny znów odezwie się, że go mieć pragnie — tak pragnący wiadomości lub rzeczy dojdzie do jej posiadania, a interesujący się tym przedmiotem ogół zyska wiadomość, gdzie się znajduje. Nieraz historja literatury potrzebuje daty urodzin, śmierci lub losów niejednego z piszących, cóż łatwiejszego jak w kilku słowach spytać się o to przez nasz dziennik a dostać odpowiedź z miejsca, z którego nikt się jej nie mógł spodziewać. Posiadający bowiem taki szczegół lub dokument jaki, nie ma sposobności dowiedzieć się, że nim badaczowi przysługę uczynić może, ani też pragnie wystąpić z obrobioną w tym względzie pracą. Przecież z łatwością kilkoma słowy publicznie odpowie, zwracając uwagę na szczegół błahy dla wielu, a ważny dla tego, który na nim opracowywaną przez siebie rzecz zbuduje. Sądzimy np. że ważnym byłoby dla hr. Przezdzieckiego dowiedzieć się, czy jeszcze w rękach prywatnych nie znajdują się luźno dochowane listy Jagiellonek, nie włączone do dzieła jego. Sądzimy, że księgarnia Luxemburska w Paryżu skwapliwie przyjmie wiadomość o listach Mickiewicza, jeśli się w rękach czyich znajdują, lub rodzina Krasińskiego z przyjemnością dowie się o listach Zygmunta, albo też poznański księgarz p. Żupański o korespondencjach Lelewela, które właśnie zbiera. Tak przedstawiwszy myśl naszą, mniemamy, że jasno wyłuszczyliśmy pożytek z jej rozwinięcia, a sądzimy, że pytania i odpowiedzi, które niniejszem otwieramy, w praktyce pożytek okażą, a będą zarazem probierzem, czyli, w jakich kierunkach i w których zawodach ruchliwość życia naukowego rozwijać się u nas powinna. Nie śmiemy sądzić żebyśmy jak niemiecki *Literarischer Handweiser* co miesiąc kilka arkuszy pytań takich i odpowiedzi dawali, przecież ufamy że się kilka znajdzie w każdym numerze naszego pisma, polecając do odpowiedzi na początek te kilka pytań, któreśmy dla przykładu przytoczyli, dodając kwestję o Dosim roku, która nam się właściwie nasuwa, gdy w wigilją Bożego narodzenia ten artykuł piszemy. Wszyscy jeśli nie pismu naszemu, to nam przynajmniej życzą Dosiego roku. Gdzie początek tego obyczaju? jakie jego znaczenie? — Lud opowiada legendę o Dorocie, która w ten dzień po setce lat przeżytych, umarła. Gołębiowski w dziele Lud polski (II 324). Majeranowski w Pszczółce krak. (I 231). Wójcicki w przysłowiach (I 200) cytuje to tłomaczenie wedle kalendarza polskiego z roku 1714. Czy jest starsza data od owego kalendarza, któraby dowodziła, że dykcja ta wcześniej znana? Ignacy Potocki twierdzi, że życzenie Dosiego roku ma źródło w wyrażeniu do wszego tj. do wszelkiego, czyli do wielu następnych lat; inni w wyrażeniu dosiego widzą znaczenie do przyszłego, Linde pisze do siego roku, Józef Konopka sądzi, że do siego jest skróceniem do setnego, wreszcie podług słownika Orgelbranda, jest to zabytek z pogańskich czasów. Dosią jest Dobiesława lub Dziewa, Żywie bogini rozdająca ludziom i znacząca żywot długi.

Być może że nie znamy wszystkich źródeł, żeśmy jeszcze jakie tłomaczenie Dosiego roku pominęli, jeśli tak jest, pytamy jakie są jeszcze źródła objaśniające ten obyczaj? A stawiamy kwestję, czyli w pewnych okolicach lud nie tłomaczy tej dykcji w sposób inny, tu przez nas nie wymieniony — pytamy, czyli zastanawiający się nad zwyczajami naszemi nie znajdą odpowiedzi stosowniejszych od podanych dla obyczaju, dla życzenia, które sobie na ziemiach całej dawnej Polski powtarzają przy łamaniu opłatka. Taka doniosłość, taka powszedniość zwyczajów nie może i nie powinna być zagadką. Sądzimy, że zbliżenie się do ludu, że zapytanie go, jeśli jeszcze nie tysiącem to przynajmniej jak na teraz setką ust naszych prenumeratorów i czytelników znajdzie odpowiedź, którą zanim odbierzemy, życzymy dzisiaj Dosiego roku.

☞ ***Do dzisiejszego numeru dołącza się listy zwrotne na „KWIATY“ i prospekta na „WŁOŚCIANINA.“***

Czesław Pieniążek odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.

W. hr. Bobrowski współredaktor.

Wincenty Sarnecki główny współpracownik.

W Drukarni „CZASU“ *W. Kirchmayera.* Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*